

Dekameron 2020: laureaci (1). "Dziewczyna z Czarnego Łądu"

Dziewczyna z Czarnego Łądu
Paweł Rogalski

- Powiem wam jak poznałem Judith Mambu z Kamerunu. Chcecie?

Tak to się zdarzyło, że przed pandemią pojechałem na urodziny do Lublina do Judith Mambu, pięknej czarnulki, dziewczyny o dużych, czekoladowych oczach i zębach białych jak hostia. Napisała do mnie na messengerze, że jest obecnie zatroskana i pragnie spotkania jak kania dżdżu, jak hipopotam nilowej wody, bo egzaminy z filozofii za tydzień, a ona studentka z Afryki nie może zrozumieć kilku problemów z ontologii i czy znalazłbym trochę czasu, i przeznaczył na omówienie po polsku niezrozumiałego materiału. Napisała, że moglibyśmy połączyć przyjemne z pożytecznym, europejski rozum z afrykańską inteligencją emocjonalną.

Pojechałem niesiony na skrzydłach wiedzy i pragnienia poznania, bo jak wiadomo- dobra ontologia nie jest etycznie zła, a u nas na wsi to ksiądz proboszcz na kazaniu powiedział, że my mieszkańcy małej wsi powinniśmy częściej rozważać kwestie eschatologiczne niż ontologiczne eksperymenty globalizacyjne z jej jałowym postmodernizmem. I zapanowało po płomiennym kazaniu, a potem po mszy takie milczenie, że wszyscy myśleliśmy, że na naszą wieś padnie jakieś przekleństwo albo kara za lenistwo w praktykach eschatologicznych, a postmodernizm to coś na pewno złego, bo jałowy, a słowo jałowy to my znamy, bo ziemia może być jałowa.

Pojechałem do miasta, do Judith Mambu z Kamerunu, bo jak wiadomo, Lublin dla nas to stolica, tak jak Praga dla mieszkańców Jicina albo Moskwa dla mieszkańców Pietuszki. Ha, Lublin to brzmi nie tylko dumnie, ale za-chwy-ca-ją-co! Tak mi mówiła Judith Mambu z Kamerunu, widząc w Lublinie ostoje wiedzy i ducha.

I pojechałem do mojego ukochanego Lublina rano, pojechałem takim małym busikiem, bordowym i błyszczącym, z panią kierowcą Renią, bo ona zawsze miała ten poranny kurs, i to chyba było zawsze uderzające, bo mi napominała moją znajomą z Afryki Judith Mambu z Kamerunu, którą poznałem na Sylwestra, w okolicznościach nadzwyczaj dziwnych i nie jałowych w stolicy Polski.

Swoją pielgrzymkę na urodziny i na filozoficzne kolokwium odbyłem w trzech etapach. Pierwszy-rano. Gdzieś o szóstej wyciągnąłem ze stodoły niemłodego volksvagen- już dawno powinienem go zezłomować, ale kiedy wyciągałem go z tej stodoły, robiło mi się żal i zbierało mi się na płacz, bo w wyobraźni widziałem go jak krowę prowadzoną na rzeź, a mówiono mi, że kiedy zwierzę hodowlane prowadzi się na taką mięsną operację, to ono płacze. I mi teraz zebrало się na takie obrazy mojego auta prowadzonego na operację miażdżenia poprzez takie wiszące kowadło, co to spadało jak lawina na alpinistów albo worek pszenicy ze spichlerza. I kiedy tak wyjechałem moim samochodem ze stodoły, to maskowałem myśli moje o zbrodni na maszynie, co to mi służyła przez piętnaście lat, i ukradkiem zerkalem na światła, bo dla mnie plastikowe lampy to oczy, i drżałem, czy te oczolampy nie zapłaczą, bo jeśli tak, to i mi się też poleją łzy. I w pierwszym etapie, mojego wyruszenia do ukochanego Lublina i Judith Mambu z Kamerunu, głośno ze sobą rozmawiałem, domykając drzwi stodoły, wyłączając tam światła i otwierając bramę. Najpierw mówiłem cicho, przeklinałem dzień, że zimno, że drogi śliskie i że już na wsi nikt o tej porze nie wstaje, tylko teraz nasza polska wieś to na

europejskim poziomie, długo śpi, żyje z dotacji i dopłat i nikt nie myśli, aby jak dawniej krowę wydoić, świnie nakarmić, koniowi obroku podrzucić, albo tym wszystkim naraz słomą pościelić. Nie nic z tych rzeczy! Teraz wieś śpi długo, kładzie się późno bo seriale i Internet, a obory puste, stodoły puste, do pracy do miasta jeździ, przez internet plotki zbiera, sąsiad sąsiada nie widzi, izoluje się i za samotnością tęskni jak w mieście, bo jak mówi przysłowie mniej wiesz, śpisz spokojnie. I kiedy w swoim monologu porannym i chłodnym dochodziłem do duchowej strony egzystencji wiejskiej, jej bolesnej strony, unosiłem głos, aż krzychałem i w tym krzyku głosiłem manifest o innym, lepszym świecie, o przyrodzie, którą nie rozumiemy, i nie czujemy, o zaniku wrażliwości i wchodziłem do auta i zapalałem. Głos mój zanikał we wnętrzu samochodu jak głos egzotycznych rybek w akwarium, i chryplem na wypowiedzi o nowych drogach i drogowskazach, bo chwaliłem, że szosy dobre, chodniki jeszcze lepsze i jak tak dalej pójdzie to zaasfaltują nam wszystkie pola i lasy. I będziemy żyć jak Alicja w krainie czarów, po drugiej stronie asfaltu! Volkswagen milczał i słuchał mnie cierpliwie i metodycznie, aż odpalił, bo nie zawsze odpalał, szczególnie gasł kiedy urągałem na jedną z szos, tej bliskiej, łączącej dwie małe wioseczki, niewyremontowanej i pamiętającej wujka Stalina. I tak wspólnie ze zrozumieniem dojechaliśmy do przystanku autobusowego. Odetchnąłem z ulgą, bo krzykliwy monolog zamaskował moje zbrodniomyśli o aucie, co to mi piętnaście lat służyło. Dalej nie mogłem, bo tu przy drodze S-17, drodze ekspresowej traciłem odwagę i impet. Parkowałem przy kościele, bo było dużo miejsca; odychałem z ulgą i żegnałem się dwa razy-błogosławiąc Volkswagena i kościół. W trakcie drogi z domu na przystanek, to było ok. 2 km, kilka razy powtarzałem ten swój monolog płomienny i poranny, tak aby niemłody samochód dowiózł mnie do celu i nie zepsuł się po drodze. Bywało, że zatrzymywał się i nie ruszył. Wtedy groziłem mu zezłomowaniem i kasacją na drugi dzień. Wyzywałem go wspominając okupację i dziadka partyzanta, co to mi naopowiadał horrorystyczne historie o faszystach, ale potem mi przechodziło. Szmatką przecierałem mu światła, bo chyba były mokre- od tych grózb o zezłomowaniu.

Drugi etap jazdy- to wejście do busika bordowego i błyszczącego z klimatyzacją, z cichym silnikiem i miłą panią kierowcą Reginą. Poranna jazda dziwiła mnie, bo na przystanku nie było nikogo, a busik przyjeżdżał i był już przepełniony. Lubiłem te jazdy poranne i chłodne i busik pełen jeszcze śpiących pasażerów, bo chyba tak nie jest źle, jak mówili w telewizji, że takie bezrobocie, w naszym regionie, a tu masz, poranne busiki pełne kobiet i mężczyzn, bo o tej porze to do pracy, a nie do baru czy na wycieczki, last minuty i Egiptu i Turcji, inne święte miejsca kultu ducha i ciała. I jedna pani, co to jej miejsce ustąpiłem, powiedziała, że to rzadkie, że jeszcze ludzie mają odrobinę szacunku dla kobiet, bo teraz to wszyscy są równi, a kiedyś nie to nie byli wszyscy równi, a raczej piękni w ty swoim szacunku, i w tej prostocie. A ja tej pani, bo zachowaniem znowu przypominała mi Judith Mambu z Kamerunu, że na tej trasie tak jest, bo szosa wiedzie przez wsie, a na wsi nowoczesność przychodzi wolniej, ale jest. I my... Nie dokończyłem, bo unikałem opowieści o kontrastach i różnicach. Ale wygłosiłem coś w rodzaju pochwalnej mowy: ludzie nie tylko ustępują sobie miejsca, ale do domów chodzi się bez zapowiedzi, mimo, że jest facebook i ihpony, i ludzie nie potrzebują wolontariatu, bo to człowiek na wsi musi w sobie mieć, i że ze zwierzętami się rozmawia, nie tylko w wigilię, ale cały rok. I włączył się do rozmowy pan z tyłu, najpierw potakując dużą głową z rzadkimi włosami jak liście jesiennej leszczyny- że on teraz mieszka w małym mieście, ale urodził się na wsi i do niej tęskni; ta jego tęsknota i nostalgia dramatyczna objawia się tym, że musi, przynajmniej raz w miesiącu pojechać na wieś, na pole i oddać tam mocz, za drzewem albo na miedzy. Czuje się jakoś lepiej i lubi kiedy przy tym skowronki śpiewają albo wrona zakracze. To go uwzniośla i unosi. I kiedy leje na ziemię, to nawet zapłaczę tak jak mój Volkswagen. A pani z siedzenia obok powiedziała, że jest pielęgniarką i codziennie jeździ do szpitala do Lublina. Przyznała, że w jej mieszkaniu w mieście ma psa. I ten jej piesuniu przypomina babcię i dziadka i wakacje na wsi. Kiedy była dziewczynką, to pies babci, taki mały rudy kundel o dermatologicznym imieniu Bąbel poszedł na suki. I nie wracał ze dwa tygodnie. Potem powrócił, ale szedł do domu wolno cały pogryziony i wytarmoszony przez inne psy konkurujące o względy suni. Kiedy babcia widziała Bąbla jak pada na trawę ze zmęczenia i wycieńczenia, załamywała ręce, a dziadek kłął i narzekał, że więcej takiego, i nie takiego, a żadnego

psa nie przygarnie. I wchodził do szopy, brał łopatę i zdenerwowany, klął i narzekając na wszystko, a szczególnie na psy, których w jego rodzinie było wiele i zawsze przynosiły zmartwienie i zgryzoty. Wynosił tę łopatę, szedł do ogrodu i kopał dół. I znowu klął i kopał, kopał i klął. A kiedy babacia zdezorientowana, załamując dłonie nad chorym Bąblem, we łzach w oczach mówiła do psa, że dziadek ma zaniki pamięci, bo ogród skopał już na wiosnę, dziadek ryknął, że kopie grób. Babcia jęknęła i pomyślała o swojej śmierci. A to chodziło o zgon Bąbla, bo dziadek szybko stawiał każdemu diagnozę medyczną- mówił: będzie żył albo umrze. Innych diagnoz nie widział. Potem mówiono, że te jego aspiracje znachora pozostały mu do końca życia, bo pięć razy zdawał na medycynę i nie dostał się! Potem pogodzeni brali płachtę i kładli Bąbla na nią i wnosili jak świętą hostię na ołtarz do chlewiku. I babcia kupowała kiełbasę parówkową i po kawałeczku wkładała Bąblowi do pyska. I chory pies po parówkowej ozdrowiał. Dziadek wtedy nic nie powiedział, bo nie lubił parówkowej, tylko boczek. A pani z końca busika zapytała, czy Bąbel był szczepiony? Bo teraz nikt już się nie szczepi, bo wolność i swobodny wybór, a to oznacza, że mamy prawo do własnego ciała. Pani od Bąbla nie usłyszała, tylko powiedziała, że u niej w szpitalu, to wszyscy poszczepili się od grypy, i ona jako dyplomowana pielęgniarka rekomenduje to wszystkim. Pani kierowca na to, że ona się nie szczepi od grypy nigdy i nigdy nie choruje. I pani pielęgniarka dodała, że w Chinach jedzą psy, a ostatnio to po zjedzeniu psa wszyscy tam zachorowali na wirusa, i że ten wirus roznosi się przez jedzenie. Ktoś z tylnego siedzenia dodał, że to nie psy, nietoperze, inny, że skunksy albo pandy. Jeśli to skunksy to na pewno Amerykanie tego wirusa poroznosili, żeby dalej utrwalac swoją hegemonię na świecie, a Chińczykom podrzucili, bo Chiny to groźny rywal. A skunksy są jak tchórze stają na tylnych łapach i wydalają śmierdzący czad. Wtedy busik zatrzymał się i do wnętrza wtargnęły nastolatki z biletami miesięcznymi. Rozmowę przerwano. Wtedy przypomniałem sobie Judith Mambu, która w pociągu relacji Warszawa-Lublin ostrzegała mnie przed jedzeniem węży, bo one mogą roznosić choroby. Wprowadzie jej przestroga padła, kiedy opowiadaliśmy sobie o egzotycznych potrawach, które oboje jedliśmy. Pochwaliłem się, że kiedy byłem na Syberii jadłem niedźwiedzie mięso. Nie smakowało mi, bo było jak sucha trawa- potrzebowało dużej ilości soli i przypraw. A potem kiedy leżałem na zapalenie płuc w szpitalu na Syberii, to zrobiono mi testy na obecność wirusów, które mogły dostać się do organizmu po zjedzeniu dzikiego mięsa. Nie wykryto nic, ale mój rosyjski kolega Tola, kiedy dowiedział się, że mam problemy z oddychaniem i poleguję sobie na pulmanologii, sam był leśniczym, przywiózł mi plastikowe wiadereczko niedźwiedziego tłuszczu. I pouczył mnie, że niedźwiedzi żyr wspomaga leczenie płuc. Pojadałem sobie, tak wieczorami. I z trwogą oglądałem ciało czy nie porasta sierścią.

Wysiedliśmy wszyscy z busika purpurowego i błyszczącego, a w jego blasku odbijał się Lublin z jego melancholijną architekturą, leniwym ruchem ulicznym i busikami bordowymi i błyszczącymi, co to odbijały jeden od drugiego swój obraz jak nieruchome sobowtóry. I tak rozpoczął się trzeci etap.

Przysiadłem na ławce i jeszcze korzystając z czasu, obserwowałem bezdomnych, co to w parach małżeńskich mówią mi językami nieznanymi, bo ta hałaśliwa mowa wybijała ich z podróźnych i kierowców, patroli policyjnych i sprzedawców wyróżniała i dawała im śliczną czelność bycia innym. I tu widząc ich jak krążą, jak się zapętłają w chodzeniu, jak lokują swój język, a to na ławce, a to przy barze, a to przy kiosku, a to przy gołębiach, to zaczepiają podróźnych prosząc o papierosy albo o jałmużnę, zrozumiałem, że nie mogą opuścić dworca autobusowego. Inni tylko przechodzą, idą i wracają, nie zatrzymują się, mają cel! Ten nieznaną cel uwniosła podróźnych, dodaje im sił, i że tempo ich poruszania jest dynamiczne. A oni, bezdomni, nie chcą tylko żyć w domach opieki czy noclegowniach, chodzą, chodzą i chodzą jak w tej anegdocie: w nocy mąż wstaje z łóżka i spaceruje po sypialni mówiąc: oj jak chce mi się baby, jak mi się chce... Żona widząc męża, odkrywa kołdrę pokazując nagie ciało, odpowiada mu: no, to chodź! A mąż na to: no, to chodzę! I ci bezdomni pozostają w zapętłaniu, bo boją się samotności, a dworzec to nie lubi samotności i walczy z nią na noże, a oni bezdomni tutaj mają tę namiastkę bliskości. W tym niegroźnym włóczęgostwie dworocowo-przystankowym, gdzie ludzie są sobie obojętni, a ta obojętność to nowy model

bezpieczeństwa w XXI wieku, to nasz karta przetargowa do lepszego świata. Przestrzeń dworca zagłusza i uspokaja tę samotność, lecz nigdy nie pozwala jej odejść. Bezdomni nie chcą być samotni, chociaż chodzą w grupkach, parach małżeńskich. Lubię tę ambiwalencję przestrzeni dworcowej- jej sprzeczności w źródłach człowieczeństwa i miejsc.

I na takim przystanku, podobnym jak tu w Lublinie, a w Warszawie spotkałem w noc sylwestrową Judith Mambu. Przyleciałem spóźnionym samolotem z Gruzji i była już 21.00. W stolicy na niebie świeciły sztuczne ognie i Warszawa przygotowywała się do Nowego Roku. Najpierw zdenerwowany, ale pełen sił pobiegłem na przystanek busików, takich czarnych i błyszczących, co wożą pasażerów na trasie Warszawa-Lublin i z powrotem, tam gdzie stoi Marriot i zobaczyłem młodą kobietę ubraną w brązowe szaty zakonne. Płakała i tupała nogami z zimna. Obca kobieta stała przy niej i emocjonalnie tłumaczyła jej coś. Potem odeszła. Afrykanka stała i płakała. Zorientowałem się, że nie odjeżdża żaden bus. Potem pobiegłem do kas kolejowych. Dowiedziałem się, że o tej porze i w ten dzień nic nie jedzie. Przetrwąć tę noc w samotności, gdzieś w barze czy klubie, aby do rana, a rano zaczął kursować pociągi i autobusy. Zakłopotany i zmartwiony postanowiłem na własną rękę znaleźć pokój w hotelu. Poszedłem pożegnać się z Judith Mambu. Dziewczyna płakała i nie ruszała się. Po angielsku powiedziałem: Happy New Year i good bye. Po czym ruszyłem do postoju taksówek. Za plecami dobiegał mnie płacz Afrykanki jak szum sennego i niemrawego deszczu. Zatrzymałem się. Nad niebem stolicy sztuczne ognie Nowego Roku zamieniały się w gwiazdy i przyczepiały się do nocy jak kosmiczne rzepy.

Do północy oboje jeździliśmy taksówką po stolicy szukając pokoju. Warszaw był piękna, jakby wyrzucona ze swojego pracowitego rytmu i posadzona jak nastolatka do karuzeli- wszystko kręciło się w światłach i muzyce, w radości i naiwności. Razem z Judith Mambu znaleźliśmy się we wnętrzu karnawału, który wchłaniał wszystkich: zaproszonych i niezaproszonych, samotnych i zakochanych, silnych i słabych, żywych i martw... No, nie ważne. W końcu zamieszkaliśmy w hotelu na Dworcu Zachodnim. Wynająłem pokój z jednym łóżkiem, bo innych nie było. Judith Mambu nie zdjęła szat zkonnych i położyła się w nich spać. Nieudolnie przed snem ściągałem ubranie, ale widząc zakonnicę poczułem, że moje półnagie ciało może zostać odczytane jako wstęp do miłosnych rytuałów. Powstrzymałem się. Położyłem się nierozzebrany. Potem długo słuchałem słów modlitwy i szcęk paciorków różańca. Modlitwa ciągnęła się do rana. Nie zasnąłem.

I tak pierwszy raz w życiu spędziłem noc z Afrykanką, w jednym pokoju dzieląc wspólnie łazienkę i łóżko. Nie wiem kim byłem tej nocy- duchownym? Samarytaninem? Bezdomnym? Alfonsem? Pamiętam, że leżała przy mnie jak piękne, drzewo hebanowe, święte... O czym wtedy śniłem? Bo uciałem sobie krótką poranną drzemkę. Może o białych lwach w Kamerunie...

Rano zjedliśmy śniadanie. Obok nas w bufecie siedzieli obcokrajowcy pewnie tacy jak my, nie zdążyli na pociąg albo autobus i musieli pozostać w Warszawie w Sylwestra. Judith Mambu po nocy ze mną, gdzie pozwoliłem jej na modły stała się radosna. Była rozmowna i otwarta; wystarczyła noc, a przyzwyczaiła się do mnie. Opowiadała mi o Kamerunie, o lwach i językach francuskim i angielskim jakim mówią w jej kraju, o żyrafach i biedzie. Nie miałem śmiałości zapytać czy jadła mięso zebry albo żyrafy... Nie śmiałem... Przytakiwałem i pomyślałem, że jaki Sylwester i Nowy Rok taki i cały rok. Przyjdzie mi wstąpić do zakonu i przez dwanaście miesięcy modlić się, trzymać różaniec i wgłębiać się w monotonię egzystencji- bo takie melancholijne obrazy stwarzała mi niewyspana wyobraźnia. I nagle znalazłem alternatywę, klasztor jak z „Imienia róży” i ja czytający Komedię Arystotelesa w dusznym labiryncie biblioteki... Mistyka i przygoda! Ha! Szybko jednak zmartwiłem się oglądając swoje opuszki palców. Wolałbym raczej zostać drugim uczniem franciszkanina Wilhelma z Baskerville.

W pociągu relacji Warszawa-Lublin długo patrzyłem w jej czekoladowe oczy, aż do dworca

kolejowego w Lublinie. Tam przy drzwiach wyjściowych podaliśmy sobie dłonie. I znikły oczy czekoladowe i afrykańskie, żyrafy i lwy i niebo Warszawy, z żarzącymi się sztucznymi ogniami. Karnawał i karuzele z emocjami... Postałem na środku dworca w Lublinie i podglądałem cienie ludzi- może po nocy sylwestrowej będą bezdomni szukający ciepła w hałaśliwej mowie i uciekający przed samotnością?

Z dworca poszedłem na przystanek autobusowy. Pozostawiłem dworzec i bezdomnych. Drzwi trolejbusu otworzyły się jak bramy Raju przezroczyste i bezgrzeszne. I cieszyłem się, że jadę na urodziny i na kolokwium z ontologii do Judith Mambu z Kamerunu. Autobus ciężko wjeżdżał w melancholię miasta, jego senną liryczność wjazdów i podjazdów, toczył się serpentynami ulic z poetyckimi nazwami, i pewnej chwili zaczął unosić się; krążył jak karuzela na nostalgicznym rondzie i kierował się w jasną stronę akademika, gdzie czekała na mnie Judith Mambu zakonnicą z Kamerunu.

Chcecie wiedzieć jak rozwija się znajomość między mną a Judith Mambu z Kamerunu. Chcecie?

I niedawno napisała do mnie na messengerze Judith Mambu. Jest już w Kamerunie. Egzamin z ontologii zdała, a moja pomoc wzmocniła jedynie odporność na stres i wyzwoliła ukryte pokłady śmiałości. Pracuje w szpitalu i pomaga chorym na koronawirusa. Po pandemii chciałaby, żebym ją odwiedził i zobaczył Jaunde, stolicę Kamerunu. W internecie sprawdziłem ilu jest chorych i ilu ozdrowieńców w tym afrykańskim państwie; potwierdzonych przypadków jest 2104, ozdrowieńców 953, zmarłych 64. Odpisałem, że gdyby znowu wracała do Polski na Sylwestra, to lepiej niech zmieni termin, bo Sylwester jest jak Nowy Rok, a Nowy Rok jak Boże Narodzenie- wszyscy pogrążają się innych stanach świadomości, religijnych i pozareligijnych, laickich i pozalaickich. Zresztą, po co do Polski- Sylwester w Jaunde, stolicy Kamerunu dla odmiany może byłby ciekawszy... Ha!

- - -